

Marek Edelman

Strzepy pamięci

(z tomu „I była miłość w getcie”, Świat Książki, 2009)

Powstanie warszawskie opisano po wielokroć, z każdej strony, i nie miałbym nic do dodania, gdyby nie to, że jako jego żołnierz byłem w szczególnej, innej niż większość powstańców sytuacji. Miałem powstańczy mundur z biało-czerwoną opaską na ramieniu i broń, ale to moja żydowska twarz wyznaczała stosunek do mnie ludzi z którymi się stykałem. Dobry i zły. Przyjazny i nieprzyjazny. To co napisałem może jest bez składu i ładu, ale to są tylko strzepy mojej pamięci.

1 sierpnia 1944

Mieszkaliśmy wtedy z Antkiem i Celiną na Lesznie pod osiemnastym, w kamienicy sąsiadującej z kościołem ewangelickim. To było jedno z dwóch mieszkań na drugim piętrze w drugiej oficynie. Miało fachowo przez murarza wybudowaną w jednym z pokoi dodatkową ścianę, za którą w ten sposób powstała skrytka. Mieszkanie kryła Marysia Sawicka, która wraz ze swoją ciotką, Anną Wąchalską, uczestniczyła w organizowaniu naszego życia po aryjskiej stronie. Kryła mieszkanie, to znaczy wynajmowała je na swoje nazwisko, no i przychodziła tam do nas donosząc jedzenie i wiadomości. Tego dnia, zjawiła się wczesnym popołudniem i powiedziała, że na rogu Żelaznej i Twardej za darmo rozdawali „Biuletyn Informacyjny”. Słyszała, że wydrukowano 50 tysięcy egzemplarzy, ale wszystko wcześniej rozdali i dla niej już nie starczyło. Na Wolskiej widziała niemieckie furmanki załadowane meblami, tobołami, rannymi żołnierzami jadące w kierunku Łowicza. Nastrój w mieście jest dziwny, wszyscy są rozradowani. Chociaż plotka mówiła, że zostały odwołane kolejne mobilizacje i teoretycznie nikt z nas nie wiedział, że dziś ma się zacząć powstanie, w mieście czuło się podniecenie.

I nagle, koło piątej, usłyszeliśmy na schodach tupot wielu nóg. Wyjrzelśmy przez szparkę w drzwiach i zobaczyliśmy jak od sąsiadki z naszego piętra jeden za drugim wychodzą młodzi uzbrojeni ludzie. Tę sąsiadkę przez cały czas uważaliśmy za niepewną, a nawet obawialiśmy się jej sądząc, że nas obserwuje, bo zawsze, kiedy u nas otwierały się drzwi wyglądała na schody. Tymczasem, mając w domu arsenał, nie mogła nikogo być pewna i niewątpliwie dlatego tak podejrzliwie nas lustrowała. Młodzi ludzie zeszli na podwórko, a my mogliśmy zobaczyć jak się tam gromadzą i zakładają na rękawy biało-czerwone opaski. Nie widzieliśmy jak wychodzą na ulicę, ani co się tam dzieje, bo byliśmy przecież w oficynie. Jednak po niedługim czasie z daleka dobiegły nas strzały. Najpierw pojedyncze, a potem coraz gęstsze. A zatem powstanie! Siedzieliśmy w mieszkaniu bez żadnych wiadomości. Przez cały czas dręczyło nas pytanie – wyjść, czy nie wychodzić? W takiej niepewności minęły nam ze dwie godziny. Nagle, koło siódmej, usłyszeliśmy pukanie do drzwi umówionym znakiem. Otworzyliśmy. W drzwiach stał Aleksander Kamiński. Przyniósł wiadomość. Jurek Grażberg, działacz harcerski i nasz kolega, a jego stały współpracownik jeszcze sprzed wojny, z którym teraz redagował „Biuletyn Informacyjny” nie żyje. Od tego się dla nas zaczęło powstanie. Stało się to w pierwszych jego chwilach. Grażberg ukrywał

się jak my. Mieszkał na Pańskiej w zakonspirowanym mieszkaniu. Kamiński bywał tam regularnie raz tygodniu po zredagowane przez Jurka wiadomości z kraju. Na wieść o wybuchu powstania Jurek wziął broń i wyszedł z mieszkania, żeby się przyłączyć. Zaledwie zszedł na dół, zatrzymał go oddział powstańczy. Rozstrzelali go natychmiast jako Żyda, który – skoro ma broń - musi być prowokatorem. Dosłownie minuty po tym zjawił się tam Kamiński, który przyszedł po Jurka, ale na podwórku znalazł tylko trupa. A po oddziale, który zajmował ten dom nie było już śladu.

Kamiński, ledwie przekroczył próg naszego mieszkania przestrzegł nas: „Musicie znaleźć oddział, który was zechce, nie możecie iść do pierwszego lepszego, a tylko tam gdzie zapewnią wam bezpieczeństwo.” Powiedział to i wyszedł.

Zobaczyłem go znów dopiero w 1945 roku w Łodzi na seminarium babci Radlińskiej. Helena Radlińska była znanym i poważanym socjologiem i pedagogiem, a raczej społecznym pedagogiem, przed wojną organizatorką Wolnej Wszechnicy. Teraz była bardzo chora. Seminarium, na które przychodzili studenci nie tylko socjologii, ale ze wszystkich niemal wydziałów uniwersytetu, wśród nich i ja, prowadziła w swoim mieszkaniu w starej łódzkiej kamienicy, leżąc w łóżku ustawionym w wielkim pokoju. To był mroźny zimowy dzień, przyszedłem wcześniej, więc mogłem wybrać lepsze miejsce; stałem oparty o ciepły piec. Przyszedł Kamiński, stanął obok mnie pod piecem, rzucił na mnie okiem, ale jakby mnie nie poznał, a w każdym razie się nie odklonił. Potem się dowiedziałem, że jest u Radlińskiej adiunktem. Był już wtedy autorem powszechnie i z zachwytem czytanych przez nas *Kamieni na szaniec*. Więcej nigdy nie miałem z nim kontaktu, chociaż mieszkał w Łodzi. Kiedyś, za czasów KOR-u, będąc u doktora Józefa Rybickiego zapytałem dlaczego Kamiński nie przystąpił do KOR-u. Wtedy pan Doktor wstał powoli z fotela, poszedł do łóżka, na którym było rozłożone całe jego archiwum i ze sterty papierów wyjął gęsto zapisaną kartkę mówiąc: „Ja go zaprosiłem i tu jest odpowiedź. Sam pan rozumie, że odpowiedź musi być odmowna, skoro jest taka długa.” Zapytałem czy mogę ją przeczytać. „Nie, bo to jest nasza prywatna korespondencja.” Swoją drogą, ciekawe musi być całe to łózkowe archiwum.

Zatem, Kamiński udzielił nam rady i wyszedł. A my dalej się głowiliśmy co robić. Nie mieliśmy żadnego takiego oddziału. Co nas jeszcze martwiło, że główna łączniczka między Kamińskim i nami, Zielona Marysia, nie przyszła. Dowiedzieliśmy się potem, że wysłał ją pod Warszawę z jakimś zleceniem, a kiedy powstanie wybuchło nie mogła już się dostać do miasta. Ale to się okazało o wiele później.

Zostaliśmy wszyscy w domu. A jednak, gdzieś koło ósmej, już zapadał zmierzch, poszedłem na róg Żelaznej i Grzybowskiej do Bronka Spiegła i Haliny Bełchatowskiej, którzy wrócili niedawno z lasu i mieszkali u Świętochowskiego. Ściemniło się. Przegadaliśmy całą noc. Oni o lesie, o tym dlaczego trzeba się było z lasu wynosić, jak się wydostali z okrażeń. Byli jeszcze bardzo napięci. Halina bardziej przytomna, rzeczowa: „No, nareszcie będziemy żyli.”

Rano wróciłem na Leszno. Antek z Celiną i Stasia wciąż tam byli. I wciąż nie było wiadomo co robić. Ani dokąd pójść. Chyba koło godziny dziesiątej przyleciał Kaziutka.

Podobno noc spędził w Sądach na Lesznie. Ten powiślak zawsze i wszędzie musiał się wkręcić i wszystko musiał wiedzieć. Co tam robił - nie wiadomo. Potem, też nie wiadomo po co, poszedł na Stare Miasto. Na Długiej, przed kościołem garnizonowym znalazł jakiś papierek, który, kiedy go obejrzał, okazał się kartką wyrzuconą przez naszego kolegę. Pisze Julek Rutkowski, czyli Fiszgrund, syn Salo Fiszgrunda, że został zatrzymany przez staromiejską żandarmerię i że jest w ich areszcie. Kazik się zakręcił, zakręcił i tam też trafił. Jakiś major przesłuchiwał Julka na okoliczność, że jest żydowskim szpiegiem i dywersantem, bo nielegalnie posiada broń. Na godzinę dwunastą wyznaczono sąd polowy. Kazik dotarł do majora i zaczął mu tłumaczyć kim jest Julek. Nie wiadomo, co za bajki naopowiadał o Julku i jego zasługach, przedstawiając go jako wielkiego wodza podziemia. A że umiał barwnie opowiadać, więc w końcu Julka wypuścili. Ten zaś, wychodząc z aresztu spotkał swojego szkolnego kolegę, który był w oddziale batalionu Czwartaków AL i tam już został. W ten oto sposób Julek został komunistą.

Kiedy Antek usłyszał, że są gdzieś komuniści, zaczął szukać swoich znajomości, bo przecież cały czas prowadził podwójną grę i utrzymywał kontakty i z komunistami i z AK. W końcu odnalazł na Podwalu kogoś z dowództwa AL na Starym Mieście. O ile się nie mylę, spotkał Kowalską. Wieczorem wrócił pełen animuszu, że znalazł oddział, który nas chce i zagwarantuje nam bezpieczeństwo. Nazajutrz miały się odbyć rozmowy o utworzeniu grupy bojowej ŻOB-u. Ale przy mnie miał zasznurowane usta, że to komuniści. Z samego rana Antek wybiegł prowadzić swoje pertraktacje. Wrócił tajemniczy, że wszystko będzie, będzie, będzie. Ale na razie tylko dym. Za to Kazik sprowadził do nas swoją panienkę, a że oboje byli niespokojne duchy, stale gdzieś latali, ale nigdy nie było wiadomo dokąd.

Nadszedł trzeci dzień powstania, a tu ciągle dym. Do Śródmieścia nie można się przedostać. Z nikim ze znajomych nie miałem kontaktu. A na dwa dni przed powstaniem nasza łączniczka, oczywiście z Kazikiem, odebrała z ulicy Frascati pierwszą przesyłkę dla ruchu syjonistycznego. To było czterdzieści tysięcy dolarów, sztabka złota i jeszcze coś. Chyba pierwszy raz w życiu zobaczyli na raz tyle pieniędzy, więc zamiast zacząć robić z nich użytek, zrobili w naszej skrytce na Lesznie jeszcze jedną skrytkę i tam wszystko schowali.

Antek swoje pertraktacje z, jak się w końcu dowiedziałem, komunistami prowadził do szóstego dnia powstania. W końcu uchwalił z nimi, że przy AL powstanie grupa bojowa ŻOB-u. Uzbierało się nas kilkanaście osób: nasza czwórka, do tego Kazik ze swoją dziewczyną, znalazły się jeszcze jakieś nasze łączniczki ze Śródmieścia, które tu zastało powstanie. Była z nami również Marysia Sawicka.

Siódmego sierpnia rano wyruszyliśmy. Dowództwo AL-u ulokowało się na Podwalu, na skos za kościołem garnizonowym na Długiej. Kiedy się tam stawiliśmy, przydzielono nas do drugiego plutonu trzeciej kompanii - albo może odwrotnie? - który stacjonował na Świętojerskiej, w piwnicy posesji, do której można było dojść podwórkami od Długiej. Dowódcą był Witek tramwajarz, czarujący chłop. Po południu Antek i Celina skapowali się, że wszystkie pieniądze zostawili w skrytce na Lesznie. A barykada powstańcza była na rogu Przejazdu i Leszna, patrząc od nas, za

Pasażem Simonsa. Nasze mieszkanie na Lesznie znalazło się już po niemieckiej stronie. Nie wiem jak Antek namówił Kazika, żeby zgodził się pójść po te pieniądze. Zabrał ze sobą swoją dziewczynę, Marysię Sawicką, Stasię i jeszcze dwie, trzy osoby.

Kawałek Leszna z naszym mieszkaniem był w rękach niemieckich, ale posterunki były jeszcze rzadkie i dotarcie tam było możliwe. Poszli. Ale mijały godziny, a oni nie wracali. Kaziutka się zapodziała. Zrobiła się ciemna noc, zacząłem się niepokoić. Ale i ja miałem swoje chody. Przez Jasia Strzeleckiego wyrobiłem sobie przepustkę na przejście na niemiecką stronę. Zgłosiłem się do dowódcy placówki na rogu Leszna i Przejazdu, pokazałem przepustkę, przepuścili mnie bez trudności.

Znalazłem się na Lesznie po parzystej stronie i szybko zmierzałem do naszego mieszkania. Okazało się jednak, że w kościele i na jego dziedzińcu stali już Niemcy. Zobaczyli mnie i zaczęli strzelać. Wskoczyłem do bramy, chyba pod dwunastym. Wszystkie domy, aż do Przejazdu były już podpalone. Co się wychyliłem, Niemcy do mnie strzelali. Aż się wziąłem na swój wypróbowany sposób. Odczekałem na moment, kiedy zapal Niemców na chwilę osłabł i przeskoczyłem do następnej bramy. Stamtąd piwnicami pełnymi ludności cywilnej i pod jej niechętnym wzrokiem, że przez powstańców ma taki ciężki los, dotarłem na powrót do placówki na rogu Przejazdu. Tam zatrzymał mnie powstańczy patrol. Spojrzeli na moją przepustkę i powiedzieli: „A to co, Żyd? Dawaj pod ścianę, bo to musi być szpieg.” Było ich czterech na mnie jednego. „Ręce do góry, podpaliłeś Leszno, ty Żydzie wstrętny!” Ale idioci nawet mnie nie zrewidowali i nie wiedzieli, że mam broń. Ich doświadczenie w zabijaniu Żydów musiało być niewielkie, myślę że to byli jacyś gówniarze. Zacząłem się z nimi szarpać. Wszystko to się działo pod drzwiami, za którymi spał ich dowódca, ten sam który mnie wypuszczał na niemiecką stronę. Sięgnąłem do tych drzwi nogą i zacząłem w nie kopać. Udało mi się, bo dowódca wyszedł i potwierdził, że mnie zna. To mnie uratowało. Ale syjonistycznych pieniędzy nie uratowałem.

Przed naszą kwaterą od strony Długiej jak zwykle siedział Gustaw. Potem wyrósł z niego generał Edwin Rozłubirski. A wtedy miał z osiemnaście lat i nie wiem kiedy spał, bo dwadzieścia cztery godziny na dobę w pogotowiu trzymał szmajsera. Zobaczył mnie i się zdziwił, bo już było późno. „A ty skąd się tu wziąłeś po nocy?” – pyta.

Wróciłem na kwaterę, ale zanim położyłem się spać szturchnąłem Antka i mówię: „I co, wasze pieniądze tam się teraz palą?”

Dlaczego Stasia poszła z Kazikiem? Myślę, że miałem taki nawyk, żeby bliskich wysyłać „za mur,” tam gdzie bezpieczniej, gdzie mają większą szansę przeżycia. A ja dzięki temu miałem większą swobodę, nie musiałem się o nich martwić. Rzeczywiście, Stasia przeżyła. Wszyscy oni przeżyli. Siedzieli w piwnicy na Lesznie jakieś dwa tygodnie, aż ich w końcu Niemcy złapali i wywieźli przez Pruszków do Niemiec na roboty.

No i tak. Antek całymi dniami konferował z komunistami. Nie wiem o czym tyle rozprawiali, ale widać mieli wspólne tematy. No i chodził po ulicy Długiej i po Podwalu i zakręcał wąsika. Dziewczyny gotowały mu coś do jedzenia i tak spędzał całe dni. Z naszej ŻOBowej grupy ja jeden wychodziłem z kwatery na placówkę. Któregoś

dnia, kiedy stamtąd wróciłem, podszedł do mnie Nastek Matywiecki i powiedział: „Marek, od dzisiaj nie będziesz spał w piwnicy, będziesz spał ze mną na trawniku, bo na dole w końcu kiedyś cię zabiją.” Odtąd spaliliśmy na trawniku przed domem, jeden za drugim, on za moimi plecami, przykryci płaszcz-pałatką Nastka.

A znowu Jaś Strzelecki lubił brać mnie pod pachę i razem przechadzaliśmy się po Długiej. „Chodź pospacerujemy sobie, bo ja to robię na złość jednemu majorowi, ale nie powiem któremu” - mawiał wtedy.

Na placówkę chodziłem na Mostową do białego domku, jak go nazywaliśmy. To ten, w którym teraz jest teatr Stara Prochownia. Spokojnie tam nie było. Byliśmy przy skrzyżowaniu, gdzie zbiegały się ulice Mostowa, dalej w dół do Wisły przechodząca w Boleść oraz biegnąca pod skarpą wiślaną ulica Bugaj, po naszej stronie Mostowej zmieniona w ulicę Rybaki. Na dzwonnicy kościoła św. Anny przy Krakowskim Przedmieściu ulokował się niemiecki strzelec wyborowy i pojedynczymi strzałami zabijał ludzi, którzy przeprawiali się przez ulicę Bugaj. W ten sposób został ranny syn generała Orlikowskiego, który był dowódcą całej naszej placówki. Mniej więcej naprzeciwko nas, ale dalej w dół w kierunku Wisły, stał dom z czerwonej cegły, który nazywaliśmy czerwonym domkiem. Zajęli go Niemcy i stamtąd strasznie nam życie obrzydali. Bezustannie nas ostrzeliwali. Zaopatrzyliśmy się więc w paczkę z prochem i własnej roboty zapalnik i któreś nocy podkradliśmy się pod ścianę czerwonego domku. Podłożyliśmy paczkę, podpaliliśmy zapalnik i uciekliśmy. Zawaliło się pół ściany. Ale mało to pomogło, bo Niemcy zrobili barykadę z worków z piaskiem i dalej nas ostrzeliwali. I tak, przez cały miesiąc powstania, trwały potyczki między nami w białym domku i Niemcami w czerwonym.

Był tam z nami mały chłopiec, może dwunastoletni. Był naszym łącznikiem. Przez cały czas był z nami, nie odstępował nas. Wołaliśmy na niego Wróbel. Jak trzeba było latał na Długą, na Podwałę, do komendy. Taki był z niego malutki dorosły.

Sytuacja robiła się coraz trudniejsza. Nie można już było obronić Starego Miasta. W przeddzień było wiadomo, że nazajutrz będziemy się wycofywać. I właśnie tego dnia zginęło na Freta całe dowództwo AL. Nie wiem, kto zdecydował, że nasz oddział wycofuje się na Żoliborz. Heniek, podporucznik i nasz bezpośredni dowódca, zarządził ewakuację, a małemu Wróblowi rozkazał zostać w ariergardzie. Wszyscy mają wychodzić a ten mały ma zostać i nas osłaniać. Chłopiec się rozplakał. Przecież bał się zostać sam. I Heniek go zastrzelił za niewykonanie rozkazu. Potem, na Żoliborzu został pozbawiony funkcji i miał stanąć przed sądem, ale nigdy do tego nie doszło. Całe trzy tygodnie nic nie robił tylko się kręcił wyelegantowany po podwórku czwartej kolonii. Ale i tak sprawiedliwość go dosięgła. Po wojnie mianowali go attaché wojskowym w Jugosławii. Wybrał się na placówkę samochodem, ale nie dojechał na miejsce. Zabił się po drodze w wypadku. Nie powiem, żeby ci, którzy z naszego plutonu zostali przy życiu szczególnie się tym zamartwiali. Ale przeżyło niewielu. Spotykałem ich pod Hotelem Polonia jak skupowali dolary, żeby rząd się mógł wyżywić.

Opuszczaliśmy Starówkę kanałami. Zeszliśmy do kanału w nocy. Z początku był dość niski, kilkadziesiąt metrów trzeba było przejść pochyłonym, ale potem... wysoki wygodny kanał, szliśmy wyprostowani z suchą bronią, której nie groziło zamoczenie. Droga wręcz luksusowa. Woda płynęła wartko, więc każdy trzymał za pasek osobę, którą miał przed sobą. Tylko pod włazami trzeba było zachować ciszę, żeby nas nie wykryły niemieckie patrole, które mogły tam na nas czatować. Tak dotarliśmy do żoliborskiego burzowca. Tam trzeba się było przytrzymać linki, żeby się przeprawić na drugą stronę przez rwący strumień wody spływającej z Żoliborza prosto do Wisły. Przeszedłem bez kwestii. Następna była Celina, która dotąd szła za mną, trzymając się mojego paska, ale do przeprawy przez burzowiec musieliśmy się rozdzielić. Jedna chwila i nurt wody ją porwał. Byłem wtedy zwinny chłopcem, ale odpłynęła dobrych pięć, sześć metrów w stronę Wisły zanim udało mi się ją złapać i wciągnąć z powrotem.

Niedługo później podeszliśmy pod Plac Wilsona, a tam oczekujący na nas ludzie pomagali nam wychodzić z kanału. Był już dzień w pełni i słońce jasno świeciło. Panowała cisza i spokój. Bez pośpiechu udaliśmy się na czwartą kolonię WSM na rogu Krasińskiego i Suzina, gdzie zostaliśmy zakwaterowani w pustych, chyba przygotowanych dla nas mieszkaniach. Byliśmy głodni. Znalazłem worek i pobiegłem na Promyka poszukać Tosi, która po opuszczeniu getta mieszkała tam w pokoju wynajętym u państwa Glińskich. Ale Tosi nie było, mieszkanie było puste. U pani Nowakowskiej - jej dom na Święcickiego i dom państwa Glińskich sąsiadowały ogródkami - też nikogo nie było. Ulica Promyka i okoliczne uliczki znajdowały się pod ostrzałem rosyjskiej artylerii zza Wisły i to pewnie zmusiło mieszkańców do opuszczenia domów. Ale okazało się, że pozostawili wanny pełne wody i piwnice nieźle zaopatrzone w jedzenie. Napeliłem worek czym się dało, a przy okazji przestrzelałem jeszcze swoją nową pepeszkę, którą mi przydzielono po wyjściu z kanału, ale oczywiście w nic nie trafiłem, poczym wróciłem na kwaterę na czwartej kolonii. Nagotowaliśmy kaszy, omaściliśmy smalcem i najedliśmy się nareszcie do syta, bo na Starówce nie zawsze się to udawało. Witek, nasz dowódca, dał nam wolne do wieczora i powiedział że od rana następnego dnia obejmiemy placówkę w domkach policyjnych, między placem Lelewela a Potocką.

Nasz pluton stał w ostatnim domku przy ulicy Potockiej. Z daleka było widać Szkołę Pożarniczą, do której przeniosły się siostry zmartwychwstanki z klasztoru na rogu Krasińskiego i Stołecznej. W objętym przez nas domku zmienialiśmy się co dwanaście godzin. Mieszkańców domu już dawno tam chyba nie było i nie wiadomo, kto przed nami w nim stacjonował. To był sam brud, smród i ubóstwo. Natychmiast oblażło nas najgorsze robactwo, wszystkie możliwe gatunki wszy. Na czwartą kolonię wracaliśmy, żeby się przespać. Pani Święcicka, właścicielka mieszkania, w którym kwaterowaliśmy, przychodziła tam w dzień z dwojgiem swoich małych dzieci. Stawiała na stole miskę z okropnie gorącą wodą i kazała mi w niej moczyć głowę. Kiedy wyjmowałem głowę z wody, wszystkie wszy pływały na powierzchni, a ja mogłem bezpiecznie nosić jej dzieci na barana. Do spania mieliśmy podłogę i tapczan, z którego gospodyni zapobiegliwie usunęła materac. Odchodziła kiedy się zmierzchało.

Któregoś dnia przyszła do nas Tosia. Skądś się dowiedziała gdzie jesteśmy i już z nami została. Nasza grupa liczyła kilkanaście osób. Musiała się rozejść wiadomość o żydowskich powstańcach, bo dołączali do nas Żydzi z okolicy, wśród nich małżeństwo Kirszenbaumów. Byliśmy rozlokowani na parterze i na pierwszym piętrze.

I tu miałem łącznika, dziewięcioletniego chłopca, na którego też wołaliśmy Wróbel. Zawsze się mnie trzymał. Chodził ze mną na placówkę do domków policyjnych. Szliśmy Suzina do Słowackiego, a po drugiej stronie Słowackiego półokopem wzdłuż ulicy Krechowieckiej biegnącej stromo w dół przez plac Lelewela. Tu było najbardziej niebezpieczne miejsce tej trasy, bo wykop się kończył za wcześnie. Trzeba było z niego wyjść i przeskoczyć do piwnicy jedynego domu po lewej stronie. Właśnie w to miejsce nieustannie strzelali Niemcy. Tu znów stosowałem swój wypróbowany sposób. Brałem Wróbla na ręce, wyczekiwałem na odpowiednią chwilę i kiedy uznawałem, że czujność Niemców osłabła, przerzucałem dzieciaka do piwnicy.

Niemcy musieli to widzieć, bo zaraz potem nasilała się strzelanina, ale zawsze była spóźniona. Udawało mi się. I innym się udawało, aż postrzelili człowieka, który się kulom nie kłaniał, kapitana Hiszpana. Za dnia nie było jak go stamtąd wyciągnąć. Stracił przytomność. Dopiero w nocy udało się go wynieść do szpitala na Krechowieckiej, ulokowanego w piwnicy tegoż domu, przed którym kończył się wykop. Pracował tam chirurg, doktor Chmielewski. Do dyspozycji miał kubełek brudnej wody, szmatę, zwyczajną igłę i nici. Obmył więc Hiszpanowi zapiaszczoną nerkę, zaszył skórę na okrętkę i tak go zostawił. Hiszpan prawdopodobnie zmarł tej samej nocy.

Na czwartej kolonii kwaterował sztab AL. Jego sekretarką w randze sierżanta była Bożena Puchalska. Miała wtedy może 16 lat i była piękną, zawsze promiennie uśmiechniętą dziewczyną. W jej rękach były wszystkie papiery i pieczęcie. Fałszywe i oryginalne. Druki kenkart, przepustek, pozwoleń i różne inne ważne i przydatne dokumenty. Bożena podlegała Kliszce. A Kliszko uważał, że ma tych dokumentów za mało i zabronił wydawać fałszywe kenkarty Żydom. Ale to Bożena je przechowywała i na nasze szczęście wcale się z tym nie liczyła. Wystawiała i pieczętowała nie tylko kenkarty, ale również przepustki i inne dokumenty. Zachowywała się jak prawdziwy samodzielny władca nad papierami. A że się pięknie uśmiechała wszyscy za nią przepadali.

Któregoś dnia mieliśmy wolne, Niemcy ostrzeliwali czwartą kolonię z Dworca Gdańskiego. Jeden pocisk trafił w pustą szafę w naszym pokoju na pierwszym piętrze, ale wcale nie wybuchł. Drugi wylądował na parterze urywając Kirszenbaumowi całą nogę razem ze stawem biodrowym. Nie zdążyliśmy nawet zejść na parter. W parę minut Kirszenbaum na śmieć się wykrwawił. Kirszenbaumowej nic się nie stało. Mieliśmy w oddziale fachowca, który pracował na cmentarzu. Nazywał się Zimny. Wiedział, że dla Żyda trzeba wykopać grób głęboki na dziewięć łokci, więc fachowo pochował na podwórku Kirszenbauma i jego nogę.

Wkrótce po wyzwoleniu Warszawy, Zimny pod nadzorem Salo Fiszgrunda przeprowadzał ekshumację. Kirszenbaumowa poprosiła wtedy, żeby po wydobyciu

ciała, z obcasa buta jej męża wyjąć dwadzieścia złotych dolarów, które tam schował. Czekala na koniec ekshumacji w jednym z pustych mieszkań na parterze, bo mieszkańcy jeszcze nie wrócili do swoich domów. Ktoś poszedł ją zawiadomić, że wszystko gotowe, a wtedy się okazało, że nie żyje. Umarła, kiedy zrywano obcas z buta jej męża. Oboje zawieziono na cmentarz żydowski i tam ich razem pochowano, ale nie wiem w którym miejscu.

Do końca powstania chodziliśmy na placówkę do naszego domku policyjnego. Niemcy zaczęli natarcie na Żoliborz. Rosjanie ostrzeliwali z katuszy ulicę Potocką, a Niemcy podjeżdżali czołgami pod domki policyjne, strzelając wprost na nas. W oknie naszego domku usadowił się starszy, jak dla mnie, pan, który musiał być przedwojennym zawodowym żołnierzem. Ze zwykłego karabinu odgryzał się niemieckim czołgom. Jaki kolor ma na ścianie człowiek bezpośrednio trafiony pociskiem wystrzelonym z czołgu? Lilaróż. Trafił go niewątpliwie wprost w niego wycelowany pocisk czołgowy, który wpadł przez okno. Kolor lilaróż na ścianie prześladował nas jeszcze przez dwa dni, aż do kapitulacji.

Z naszej pozycji w ostatnim domku tylko ja zostałem przy życiu, a w sąsiednim - Karol. Nastąpiła kapitulacja, ale my się o tym nic nie wiedzieliśmy. Biegaliśmy jeszcze od okna do okna, po kolei z każdego strzelając, żeby sprawić wrażenie, że jest nas wielu. W końcu, w chwili spokoju gapiąc się na swobodnie latające ptaki, zauważyłem, że siostry ewakuują się ze Szkoły Pożarnictwa. Zawołałem więc Karola i razem zeszedliśmy do półokopu na tyłach domków policyjnych i poszliśmy w kierunku dolnego Żoliborza. Z początku rozmawialiśmy, ale potem droga zrobiła się trudna, szedłem pierwszy, on za mną i już nie mogliśmy rozmawiać. Kiedy się odwróciłem kilka minut później, nie zobaczyłem Karola. Nie wiem co się z nim stało. Raczej nie mógł wtedy zginąć, bo już wówczas nie strzelano. Może nie odpowiadało mu moje towarzystwo? Nigdy go już nie spotkałem.

Dalej poszedłem sam. Dotarłem do ulicy Mickiewicza, po której od strony Dworca Gdańskiego jeździły już niemieckie czołgi. Zaraz za Placem Wilsona zszedłem do piwnicy kamienicy przy Mickiewicza naprzeciwko parku. Było tam pełno ludzi. Stałem oparty o ścianę i wtedy pod przeciwną ścianą zobaczyłem znajomą sylwetkę odwróconą do mnie tyłem. Bardzo przypominała Celinę. Przepchnąłem się do niej przez tłum. To rzeczywiście była Celina. Z jej ramienia zwisał, sporo od niej większy, stary rosyjski karabin. Okazało się, że postawili ją na warcie na siódmej kolonii, a potem wszyscy o niej zapomnieli. Na podwórku wisiły już w oknach białe prześcieradła, a ona, taka obowiązkowa, wciąż stała na warcie, bo nikt jej nie odwołał. Aż przyszli mieszkańcy i wyrzucili ją stamtąd. I też trafiła do tej piwnicy.

Przez Mickiewicza nie dawało się przejść. Od strony miasta jeden za drugim jechały niemieckie czołgi. Weszliśmy na półpiętro, żeby lepiej widzieć ulicę. Staliśmy i czekaliśmy, a razem z nami dziesiątki cywilów i żołnierzy. O zmroku nastąpiła chwila przerwy i wtedy, z grupą dwudziestu osób przeskoczyliśmy przez jezdnię do parku. Stamtąd w dół, w dół, w dół, bo chcieliśmy się dostać do Tosi na Promyka. Tam, po drugiej stronie parku mogliśmy się poruszać bez przeszkód. Było już zupełnie ciemno, kiedy dotarliśmy do ogródka willi, w której mieszkała Tosia. Zastaliśmy tłum

żołnierzy, którzy bezskutecznie próbowali się przeprowić przez Wisłę. Jakaś łączniczka, która poprzedniego dnia przepłynęła wpraw na Pragę i stamtąd wróciła, miała ich zaprowadzić w umówione z berlingowcami miejsce, w którym na wycofujących się z Warszawy powstańców miały czekać łodzie i przeprowić ich przez rzekę. Dlatego Wisłę pokrywała sztuczna mgła. Jednak musieli wrócić znad Wisły, bo nie udało im się spotkać żadnych łodzi. Potem mówiono, że prawdopodobnie pomyłono punkt kontaktowy, w którym umówiono spotkanie. Łączniczka była podobno dobrą pływaczką, ale nie знаła Żoliborza. Teraz ci wszyscy ludzie tłoczyli się w ogródku Tosi, a właściwie w ogródku państwa Glińskich i zastanawiali się co dalej robić. Był wśród nich mąż pani Świącickiej, porucznik Tytus, który dowodził jednym z oddziałów akowskich na Żoliborzu. Znałem go, bo kwaterowałem w jego mieszkaniu na czwartej kolonii. Tytus podszedł do mnie i powiedział: „Marek, nie ma rady, idę do niewoli. Dam ci opaskę i akowską legitymację. Pójdź z nami.” Zapytałem go tylko, czy mi zagwarantuje, że nikt z jego ludzi, kiedy będziemy przechodzić do Niemców nie wskaże mnie i nie powie, że jestem Żydem? „Nie, tego ci nie zagwarantuję.” „Wobec tego dziękuję, ja zostaję” - odpowiedziałem.

Powoli podwórko pustoszało. I zaczęli się schodzić nasi. Byłem już ja i Celina. Przyszli Antek, Zygmunt Warman z Marysią, Zosia Skrzyszewska z rannym Julkiem Rutkowskim i jeszcze parę osób. Tosia powiedziała, że u państwa Glińskich w piwnicy jest regał zastawiony słoikami z przetworami na zimę, a za tym regałem, następna, niewidoczna piwnica z kuchnią do gotowania prania i że tam można się schować. I tak zrobiliśmy. Witek, nasz dowódca, również tam z nami poszedł, bo na zabój kochał się w Andzi Elenbogen. I tam się nad ranem zamknęliśmy.

Chyba każdy z uczestników tej kryjówki nieraz opisał nasze tam przejścia. Niemcy budowali bunkier obronny w jednej z piwnic i zaminowywali okolicę. A my, mając Niemców za sąsiadów, przetrwaliśmy tam z różnymi przygodami do 15 listopada. Tego dnia dotarła do nas z całym patrolem Ala Margolis. Musiała do nas przejść przez pole minowe, więc mądrała zdjęła buty, żeby mina nie wybuchła. Jakoś jej się to udało, a że szczęście jej nie opuszczało, bo trafiła na przerwę obiadową u Niemców, którzy zostawili robotę i udali się na posiłek, mogliśmy wyjść z naszej kryjówki.

To wszystko co mi zostało, takie strzępki pamięci. Ludzie, którym to opowiadałem, pytali, czy to wszystko jest prawda. Tak, prawda. Toczka w toczkę. Koniec, kropka. Więcej już nic.

Zapisała Paula Sawicka

1 i 3 sierpnia 2008 roku